

WROGIE PRZEJĘCIE NIEBA

WROGIE PRZEJĘCIE NIEBA

List wysłany do papieża 11 sierpnia 2026 roku otrzymał potwierdzenie odbioru w czasie, jakiego żadna instytucja religijna nigdy oficjalnie nie obiecywała.

Były tylko trzy możliwe wyjaśnienia.

1. Stolica Apostolska nie przyjmuje e-maili.
2. Stolica Apostolska nie udostępnia dedykowanego adresu zwykłym wiernym.
3. Stolica Apostolska woli korespondencję papierową doręczaną tradycyjną pocztą.

A jednak coś mi mówiło, że nie należę do wiernych.

Należałem do kolegów.

Może z innego stulecia. Bez sutanny. Bez koloratki. Bez żadnej widocznej odznaki władzy.

Po ośmiu latach w szkole klasztornej prowadzonej przez zakonnice wciąż jednak uważałem się za praktykującego katolika z rozsądnym zapasem wiary na stanie.

Następnego ranka mój domowy telefon zachowywał się tak, jakby był opętany.

Telefony przychodziły ze wszystkich stron.

Wszyscy powtarzali to samo pytanie.

„Widziałeś to?”

Widziałem co?

„Jesteś pierwszy”.

Pierwszy gdzie?

„W sieci. Wszędzie. Nad Watykanem. Nad gazetami. Nad Wikipedią. Jedyne, co jest wyżej od ciebie, to stopka”.

Informacja brzmiała śmiesznie.

Niestety była też prawdziwa.

Do pory obiadowej stanąłem przed prawdziwym Trybunałem Świętego Oficjum: moją żoną i moją córką.

Przesłuchanie zaczęło się natychmiast.

„Gdyby papież zaprosił cię do Watykanu, co byś mu powiedział?”

Uśmiechnąłem się.

Jako narrator, sprzedawca, pisarz i okazjonalny zawodowy oszust rzadko

cierpiałem na niedobór odpowiedzi.

Potem mój dyrektor bankowy, który akurat był też przyjacielem, pojawił się niespodziewanie u mnie w domu i zapewnił konieczne narracyjne przyspieszenie.

W końcu odpowiedziałem.

„Wyjaśniłbym Jego Świątobliwości, że nadszedł czas, by przeszedł do historii trzy osobne razy”.

Cisza.

Wszyscy słuchali.

„Po pierwsze, zostając papieżem”.

Pauza.

„Po drugie, oficjalnie uznając, że Jezus Chrystus był gładko ogolony, a zatem był pierwszym kolegą, jakiego Gillette kiedykolwiek miał”.

Nikt nie przerywał.

Ośmielony brakiem natychmiastowego aresztowania, mówiłem dalej.

„Po trzecie, sprowadzając Gillette z powrotem do domu i oddając firmę pod ochronę Watykanu”.

Pokój eksplodował.

Wszyscy się śmiali.

Wszyscy oprócz mojej córki.

Obliczała prawdopodobieństwo, że pomysł jest poważny, i, co gorsza, próbowała zrozumieć, skąd się wziął.

Sama strategia była całkiem prosta.

Kościół stałby się najpotężniejszą organizacją marketingową w dziejach ludzkości.

Każde opakowanie ostrzy.

Każda maszynka.

Każda ulotka.

Każda ekspozycja.

Każda reklama.

Wizerunek Jezusa.

Lojalność wobec marki stałaby się natychmiast kwestią teologiczną.

Nikt nigdy więcej nie zmieniłby marki.

Wierni kupowaliby ostrza Kościoła.

Kościół zyskiwałby konsumentów.

Konsumenci stawaliby się wiernymi.
Wierni finansowaliby dobroczynność.
Dobroczynność generowałaby dobrą wolę.
Dobra wola generowałaby więcej wiary.
Koło zamachowe stałoby się wieczne.
Potem przyszła Faza Druga.
Papież ogłosiłby wrogie przejęcie.
Nie przeciw innej religii.
Przeciw Wall Street.
Gillette opuściłoby giełdę na zawsze.
Koniec akcjonariuszy.
Koniec kwartalnej paniki.
Koniec analityków tłumaczących rzeczywistość ludziom, którzy ją faktycznie
zbudowali.
Firma stałaby się częścią chronionego dziedzictwa ludzkości.
Zarządzana przez dwunastu rybaków wybranych bezpośrednio spośród
duchowieństwa.
Oryginalny model zarządzania.
Przetestowany dwa tysiące lat temu.
Wyniki są historycznie znaczące.
Naturalnie ludzie od detergentów nigdy nie zrozumieliby, co się stało.
Pewnego dnia posiadaliby kurę znoszącą złote jaja.
Następnego dnia wierzyliby, że posiadają kurę bez jaj.
Czego by nie zauważyli, to że kura nagle zyskała dwa miliardy dodatkowych
klientów.
Przychody potroiłyby się.
Koszty zarządzania załamałyby się.
Całe warstwy kadry kierowniczej po cichu by zniknęły.
Wielu z nich wysoko wynagradzanych.
Nieliczni z nich kompetentni.
Korelacji nigdy rozstrzygająco nie ustalono.
Ze swojej strony widziałem tylko jedno osobiste ryzyko.
Papież mógłby się zgodzić.
A gdyby się zgodził, mógłby poprosić mnie o powrót do pracy dla Matki Gillette.

Akurat na tyle długo, by zrestartować startup.
To natychmiast stworzyłoby znajomy problem.
Jego Świątobliwość znałby już moją cenę.
Jeden dolar.
Nie dlatego, że taka była wartość.
Dlatego, że taki zawsze był żart.
A jak każdy niebezpieczny żart, zawierał o wiele więcej prawdy niż pociechy.
Ferdinando